

ROZMAITOŚCI.

Dnia 18. Lipca.

№ 29.

Roku 1855.

SPUŚCIZNA.

Z powieści genewskich R. Toepffera.

(Z francuskiego.)

(Dalszy ciąg. Ob. N. 23. 24. 25. 26. 27. 28. Rozmaitości.)

V.

Gdym się znajdował na ulicy, uczułem wnet, jak cisza wieczorna, godzina, ciemność i milczenie wracały powoli moim wrażeniom cały urok i żywość z dnia wczorajszego. Przechodziłem temi samemi ulicami, by odżywić w mej duszy wszystkie te wspomnienia i wnet znalazłem się w pobliżu domu, który był celem mej wycieczki. Ale w miarę, jak się zbliżałem, jakieś wzruszenie nieznanne mi zupełnie, wstrzymywało me kroki, a gdym wszedł do bramy, zatrzymałem się w nowej niepewności, czy iść na górę, czy wyrzec się na teraz mego zamiaru.

Tymczasem pewna okoliczność, która właśnie powinna była wstrzymać mię od tych odwiedzin, skłoniła mię przeciwnie do wykonania mego przedsięwzięcia. Uszedłszy aż na dziedziniec nieujrzałem żadnego światła na trzecim piątrze; z tego można było wnosić, że niezaстанę nikogo w domu; ale właśnie to prawdopodobieństwo, zmniejszając część me wzruszenie, dodawało mi od-

wagi. Oprócz tego pociągał mię zarazem jakiś rodzaj ciekawości, gdyż ciemność ta dziwiła mię poniekąd. Była dopiero godzina ósma, i niemogłem przypuszczać, by osoby, które chciałem odwiedzić, udały się już na spoczynek.

Wstąpiłem tedy na wschody z mocnym biciem serca, które wzmagalo się za każdą razą, gdym potracił co w ciemności, lub gdy przystając na chwilę zastawałem dokoła najgłębsze milczenie. Nakoniec stanąłem u znajomych drzwi, ale dopiero wtedy ośmieliłem się zapukać jak najciszej, gdym się przekonał po długiem nadsluchywaniu, że prawdopodobnie niebyło nikogo, coby mógł odpowiedzieć. Zaledwie jednak zapukałem, odbiegła mię natychmiast moja pewność; wstrzymałem oddech w piersiach, i byłem gotów uciec za najmniejszym szelestem wewnątrz; ale na szczęście nie nicustyszałem. Wówczas zapukałem głośniejsz, po chwili jeszcze mocniejsz, a w końcu nabywszy już pewności, że pomieszkanie było opróżnione w tej chwili, odważyłem się zadzwonić... Natychmiast

otworzyły się jakieś drzwi na niższym piątrze, i mdławy blask świecy rozjaśnił miejsce, w którym się znajdowałem.

Osoba, co wyszła z nią, nieruszyła się i nierzekła ani słowa; i światło też niezmiętało się wcale. Cóż miałem robić? Uciekać na wyższe piętro? To mogłoby ściągnąć na mnie haniebne podejrzenie i narazić mię na największe nieprzyjemności. Pozostać na miejscu? Już zimny pot występował mi na czoło, i każda chwila, przebyta w tém położeniu, wydawała mi się wiekiem trwogi i męczarni. Zejść śmiało na dół? Nie miałem na tyle odwagi. Postanowiłem więc zadzwonić raz jeszcze.

— „To on!“ — zakrzyczał jakiś głos. I wnet ujrzałem przed sobą sąsiadkę, która mię olukała wczoraj.

Twarz téj kobiety pałała wściekłością.

— „Niegodziwce!“ — zawołała — „i ty śmieiesz przychodzić tu jeszcze!... Co za bezczelność!... Żal ci płaszcza nieprawdaż?... Szukaj u plebana dzielnicy. On wie o wszystkim, i będziesz miał z kim się rozmówić.“

Posłuchałem tych słów zelżywych i urywanych raczej z zadziwieniem niż gniewem.

— „Moja pani“ — rzekłem — „nie znam cię wcale, i to jedno pojmuję tylko, że znieważając mię w nierozsądném zaślepieniu ubliżasz tém samém temu zacnemu dziecięciu.“

— „Poczwaro!“ — przerwała mi — „alboż-to ja ślepa? czyż niewidziałam jęj łez?... czyż nie ja to podniosłam twój płaszczyk zostawiony przy łóżku?!...“

— „Nierozumam pani wcale“ — odrzekłem z kolei — „tém bardziej, że nie przyszedłem tu ani słuchać jęj niegrzeczności, ani szukać mojego płaszcza. To jedno chciałbym wiedzieć tylko, o jakim czasie mógłbym zastać tę młodą pannę i jęj szanowną matkę.“

— „Tutaj już ich niezobaczysz; a tam, gdzie są, nieważ się ich szukać. Precz ztąd niegodziwce, uchođź z tego domu, i aby nigdy więcej niesłyszano tu o tobie! To jedno tylko kazano mi ci powiedzieć.“

Domawiając tych słów zeszyła napowrót przede mną i zatrzymała się po chwili przy swoim progu, jak gdyby chciała się zapewnić, czym odszedł istotnie. Przez otwór wychodzący na dziedziniec spotrzegłem w téj chwili kilka głów w oknach, które z ciekawością nadśluchwały naszej rozmowy. Ponieważ moje pomieszczenie a bardziej jeszcze milczenie nadawały mi pozór winy i bezczelności w oczach tych ludzi, zwróciłem się do téj czarownicy, która narobiła tyle wrzawy i rzekłem dobitnym głosem:

— „Moja pani, ze względu na licznych świadków, którzy nas słuchają, zależy mi na tém, by wiadano kto jestem: nazywam się Edward de Vaux. Być może, że ta młoda osoba i jęj matka poznają mię kiedyś lepiej, i będę nawet starał się o to, gdyż zanadto je poważam, bym mógł znieść obojętnie ich pogardę. Pani jednakże możesz w każdym razie być pewną méj pogardy, gdyż bez najmniejszej słuszności i jedynie tylko przez podłość własnego uczucia wyrządziłaś

tę dziewczynie krzywdę niepowetowaną może.“

Po tych słowach zeszedłem na dół. Głęboka cisza dozwalała mi słyszeć szepcane sąsiadów, których scena ta przywabiała do okien. Za kilka minut znajdowałem się już na ulicy.

Byłem wielce rozstrojony, nietyle jednak niesprawiedliwym napadem tej kobiety, ile raczej, że nie wiedziałem, gdzie szukać. Niewiedząc, kogo zapytać o to i dla spóźnionej pory niemając już żadnej nadziei, bym mógł odwiedzić ją dzisiaj, postanowiłem z największym żalem powrócić do mego mieszkania.

Wypadek ten jednakże nieostudził bynajmniej mego uczucia, przeciwnie dodał mu tym więcej siły, a niespodziewana ucieczka tych dwóch dam uderzała mnie jakąś romantyczną tajemniczością, która mimo zmartwienia, jakie mi sprawiła, schlebiała mojej wyobraźni. Dręczony obawą matki, pragnąłem co prędzej ją uspokoić, a córka, którą na chwilę owiało nieczyste technienie potwarzy, wydała mi się tym powabniejszą. Że zaś stało się to z mej winy, czułem się jeszcze obowiązany stanąć w jej obronie, a rola ta, którą uszlachetniało niejako postępowanie moje względem niej, schlebiała mej miłości własnej i pociągała mnie ku niej jeszcze bardziej.

Wróciwszy do domu dowiedziałem się od Jakóba, że ktoś oczekuje mnie w salonie od kilku minut. Wszedłem śpiesznie, i jakiś poważny jegomość (z ubioru domyśliłem się natychmiast, że to ple-

ban, u którego złożono mój płaszcz); powstał przed kominem, by mię powitać.

— „Pan niewiesz zapewne, co mię tu przywiodło“ — rzekł do mnie z niejakim wzruszeniem, — „i ja sam jestem w kłopotcie, jak panu to powiedzieć.“

— „Za pozwoleniem“ — przerwałem mu — „czy nie u pana to złożono mój płaszcz?...“

— „Tak jest, panie.“

— „W takim razie, wiem o co idzie i jestem gotów słuchać pana.“

Po tej przedmowie usiedliśmy.

— „Mój panie,“ — ozwał się po chwili pleban — „muszę wyznać najpierw, że nieznam pana wcale, i gdyby nie płaszcz, którego klamra nosi nazwisko pana, byłoby mi niepodobna znajdować się tu w tej chwili. Zresztą moje prawo do tych odwiedzin zasada się tylko na obowiązkach względem moich parafian, z którego jednak tylko wtedy zrobię użytek, jeżeli pan je uznasz.“

— „Uznaję je najzupełniej“ — odrzekłem.

— „Zatem mogę mówić otwarcie.“ — Ciągnął dalej. — „Przychodzę tu uprzedzony przeciw panu pozorem, domyślam się sąsiadki, a co największa, strapieniem szanownej matki, którą po raz pierwszy dotknęło żądło złośliwej potwarzy, naruszające wieniec czystości, co dotąd był największą ozdobą i jedynym skarbem jej dziecięcia. Ale ja wiem dobrze, że złośliwość ludzka potępia częstokroć nawet najczystsze zamiary i najszlachetniejsze postęпки, i dla tego niechciałbym obwiniać pana bez przekonania.

W sprawie więc, obchodzącej tak blisko szczęście dwojga osób, których sieroctwo wymaga témbardziej mój opieki, przyszedłem do pana jedynie w tym zamiarze, by pomówić z panem otwarcie, by się dowiedzieć, jeżeli można, jakie niebezpieczeństwo im groziło lub może grozić jeszcze, ażebym stosując się do tego mógł z całą sumiennością wypełnić przyjęty na siebie obowiązek ich opiekuna. Zarazem wyznaję panu, że jakiegokolwiek mogłeś pan dopuścić się winy lub nieroztropności, niestraciłem wcale nadziei, by życzliwe rady doświadczonego starca nieodwiodły go od złych zamiarów a przynajmniej nienatchnęły uczuciem szacunku i politowania dla moich dwóch parafianek.“

— „Mości plebanie“ — odrzekłem natchnionym z nicmałym wzruszeniem — „ja nieganię ani pańskich powodów ani jego uprzedzenia; wszakże zdaje mi się, że świadectwo pewnej osoby powinnyby mieć większą wartość niż moje, mianowicie wyznanie dziewicy. Jeżeli lube dziecię obwinia mię o brak uszanowania, jeżeli słowa jej wykryły coś innego prócz życzliwej przysługi, jaką jej wyświadczyłem, jeżeli zdradziły z mój strony najmniejszą obrazę jej niewinności... pocóż było przychodzić do mnie? Czyż skromne to dziecię mniej zasługuje na wiarę, niż człowiek, którego obwiniają pozory? Wyznaję więc otwarcie, że jakiegokolwiek szanowne są zamiary pana, niepojmuję przecież tego kroku ani też zgorszenia, które go wywołało. Zresztą odwołuję się jeszcze raz do świadectwa tej młodej dziewczyny, a jeżeli ona mię

potępi, przyjmę spokojnie ten wyrok, a z nim pogardę jej i pana.“

— „Słowa pańskie“ — odrzekł pleban — „tehną prawdą i szlachetnością, a i świadectwo, do którego się pan odwołujesz, wypada na korzyść pana. Tylko że niedokładne jeszcze; jest-to bowiem wyznanie niedoświadczenia i niewinności, którą możnaby obrazić nieprzyzwoitem pytaniem. Młode to dziewczę, niewiedząc czego chcą od niej i dręczone tém co słyszy, zaléwa się tylko łzami i poświęca szlachetną troskliwość pana. Co do mnie, niebędę nigdy wątpił o jej niewinności. Ale przyznasz pan może, że mogłeś, nawet mimo jej wiedzy dopuścić się nieszlachetności; a jeżeli do tego jeszcze oskarża cię świadek naczynny i wniecea obawę w sercu matki, którą zdają się potwierdzać nieszczęsne pozory, tedy spodziewam się, że nienazwiesz pan ani dziwnym ani bezzasadnym ten krok, jaki uczyniłem uciekając się do szczérości pana. Przykry to krok bardzo, wierzaj mi pan; powątpiewać o czyjejs prawości i szlachetnych zamiarach, niedowierzać wyznaniu zanego człowieka: jest-to jeżeli nie najokrutniejszy to przynajmniej najcięższy obowiązek, jaki wkłada na nas nasze powołanie.“

— „To prawda“ — odrzekłem sucho. — „Ale kiedy pan się wahasz między zeznaniem mojem a owęj nierozważnej kobiety, niemogę znieść téj obrazy w milczeniu. Oto posłuchaj pan, co się stało. Jednak nim zacznę moje opowiadanie, uprzedzam pana mości plebanie, że

niecierpię z pańskiej strony ani niedowierzania, ani wątpliwości.“

Poczem opowiedziałem mu szczegółowo wszystkie zdarzenia z dnia wczorajszego, jak je poznali czytelnicy moi. Nie udało mi się przed nim ani mego zachwycenia ani méj skłonności; bo rzeczy takie, jak u poziomych istot zdolne są obudzić podejrzenie, tak przeciwnie u osób szlachetnych bywają najpewniejszą rękojmnią czystości serca i zamiarów. Pleban słuchał mię z wielkiem zajęciem; kilkakrotnie dostrzegałem w jego twarzy wyraz sympatyj i uznania; jego wzrok zdawał się mię uniewinniać, a ręka gotowa była uściskać dłoń moją... Ale gdym skończył moje opowiadanie, siedział chwilę nieruchomy i milczący, jak gdyby się wahał jeszcze z przyznaniem mi słuszności. To oburzyło mię do najwyższego stopnia i już byłem gotów ofu-

knąć go niegrzeczными słowy, gdy wreszcie przerwał milczenie i rzekł:

— „Niegniewaj się pan. Słuchałem wszystko uważnie i niewaham się wcale między panem i tą kobietą. Ale daruj pan, że wbrew własnemu przekonaniu niemogę panu jeszcze wyrazić szacunku i uznania, na jakie zasługujesz może. Inne bowiem świadectwo, nierównie ważniejsze i szanowniejsza osoba, której wiele zależy na opinii pana, starając się przed chwilą usprawiedliwić go przede mną, przyczyniła się stokroć więcej do zachwiania méj wiary, niżby tego dokazał jakikolwiek głos oskarżający.“

Słuchałem tych słów z nadzwyczajnym pomieszaniem; w sercu mojem srożyły się na przemian najgwałtowniejsze uczucia gniewu, pogardy i dumy.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

K O M E D Y A.

D R A M A T

Apollona Korzeniowskiego.

(Z Biblioteki Warszawskiej.)

(Dalszy ciąg. Ob. Nr. 21. 22. 23. 24. 25. 26. 27. 28. Rozmaitości.)

Scena 8.

Prezes, Sekretarz ukryty.

Prezes.

A mogłem więcej zyskać, szkoda.

(chodzi po scenie)

Do téj pory to idzie, teraz, skok śmiertelny!
To tego, z kobietami bywałem bezczelny
Za czasów méj młodości; czas to był niczego,
Ba, i teraz potrafię!

(po chwili namysłu)

Lecz Lidia, to tego,

Ma coś w sobie, co nawet i nazwać mi trudno:
Coś, o tak, niby obraz święty. Z myślą brudną
Nie można ustać przed nią; istne jakieś czary
Wieżą od niej.

(śmieje się)

O! głupi, o głupi, choć stary!
Cóżto święta, czy anioł? Et! I przed aniołem
Jakośbym skłamał jeszcze i z pogodnym czołem;
No! to tego, czas, pora.

(Dzwoni, służący wchodzi.)

Prosić tutaj panie.

(Służący wychodzi.)

Prawdziwie coś mi straszno!

(staje przed lustrem i przegląda się)

O! Boże skaranie!

Otóż czerwony jestem: to skutki trawienia.

Ha! zołądek figluje, źle!

(po chwili milczenia)

Na karb rozczulenia

Niech idzie ten rumieniec.

(znowu patrzy w lustro)

Jednakże niemiło,

Ze już jeść, pić nie można, jak się jadło, piło;

Trzeba się zreflektować.

(Słychać szelest za drzwiami. Prezes siada z miłą smutną i zamyśloną. Sekretarz wygląda z zafrankiem i grozi prezesowi; na widok wchodzących ukrywa się śpiesznie.)

Scena 9.

Prezes, Basia, Lidia, Sekretarz ukryty.

Basia *(ciągnąc prawie Lidie).*

Samaś tego chciała!

Chodź! Dotrzymać ci muszę to, com obiecała,

Na co trzykroć przysięgałam!

Prezes *(udając przestrah i niespokojność).*

Co to się ma znaczyć?

Co się stało? No! mówcie?

(do Basi)

Proszę wytłumaczyć?

Czego milczysz?

(do Lidii)

Ty drżąca, pomieszana, biała?

(do obydwóch)

Co to jest? A! Na Boga! Niechże która gada?

Mnie żywego już nie ma!

(do Lidii)

Moje dziecię drogie!

Co tobie? powiedz, proszę!

Lidia.

Ja nie wiem! Nie mogę

Myśli zebrać! To ona.

(Pokazując na Basię.)

Prezes *(do Basi).*

Cóż milczysz jak ściana!

Mówże Basiu, wszak widzisz jak ona zmieszana;

A twarz jęj tak zbiedzona, że aż litość bierze.

No, mówże, a otwarcie! Coto jest? A szczerze!

Basia.

E! nie ma z czém się tać. Niech stryj list pokaże!

Prezes *(z podziwieniem).*

List? Jaki list? Cóż znowu? Niech mię Pan Bóg

(skarże,

Jeżeli wiem o co idzie?

Basia.

List pana Henryka

Pisany do mnie.

Prezes.

Cóżto za pretensya dzika?

Zkądże on ma być u mnie?

Basia.

Wszakżem go oddała

Do schowania stryjowi?

Prezes.

Mnie? Czyż oszalała!

Basia.

A niech stryj nie udaje. Wszystko już odkryto:

Ona kocha Henryka, a on...

Prezes.

O! koho!to!

Co pleciesz?

(do Lidii)

Moja Lidio! Moje dziecię drogie!

Co ona mówi? Prawda-ż? Ja wierzyć nie mogę!

Lidia.

Wujaszku! Ty się zlituj, Basia bez litości!

Zlituj się! powiedz wszystko! Głos niespokoj-

(ności

Czulój, troskliwój o mnie, co słyszę w twój mo-

(wie,

Źle mi wróży, nieszczęście potwierdza w połowie!

Ja go kocham, wujaszku! Niedawno, przed chwilą,

On wyznał mi swą miłość!

Prezes.

Pozory cię mylą:

Ja choć pytam troskliwie, ale nie w obawie.

Więc go kochasz?

Lidia.

O! kocham!

Prezes *(patrzy na nią smutnie, waha się czas niejaki, później czule).*

Ja was błogosławię!

(Lidia całuje z zapalem rękę prezesa. Basia patrzy nań ze zdziwieniem.)

Tak! Tylko błogosławię, bo to władza jedna,
Jaką na mnie przelała twoja matka biedna
Na łożu swojej śmierci! Ja cię błogosławię!
On, biedny! W rządzie przeszkód ja tego nie sta-
(wię!

On bez stosunków w świecie; ja wam je porobię!
A kiedy pójdziesz Lidio modlić się na grobie
Twój matki, to jój powiedz: zem był ojcem tobie!

Lidia.

Mój wuju!

Basia.

C'est stupide! Cóż stryj myśli sobie?
Chce ją zgubić, to proba ojcowskiej czułości?
Czasem, boleść zadana dowodem miłości!
Ja dałam jój ten dowód! Ja! Nie bacząc na to,
Że utrata jój serca będzie mą zapłatą;
W sumieniu czerpiąc siły dla jój ocalenia,
Wywiodłam ją gwałtownie z raj u omamienia!
Wszystko jój powiedziałam; wszystko wię ode
(mnie:

Jak Henryk ją uwodził, a kochał się we mnie!
Przekształciłam poetę w niskiego szalbiercę,
Bo ja ją szczerze kocham!

Prezes.

Czy ty miałaś serce?

Patrz na nią! Czy ty widzisz? Życzliwość twa
(truje!

Ona za ledwo żywa!

(do Lidii)

Lidio! Ja pojmuje

Straszny ból twego serca; ale moje dziecię.
Nie wszystko stale dobre, albo złe na świecie!
Jasnym ucznć Henryka, to przelotne chmury!
Ja bronię go dla ciebie.

Lidia.

O! dosyć tortury!

Wuju! Najlepszy! Dobry! Nie wuju, a ojcie!
Ty mię kochasz! Ty czujesz jak to jest zabójcze,
Jak to wszystko okropne! Wuju! o! z litości,
Wolę skonać w mym żalu, jak być w niepewności!
Ja dotychczas nie wierzę, choć twych pociech
(słowa

Dźwięczą, jak na pogrzebie muzyka grobowa,
I rozpaczem przecuciem serce moje krwawią!

Prezes *(z gniwem do Basi).*

E! Te twoje zwierzenia o szal ją przyprawia!

(do Lidii)

Moje dziecię! Ma córko! o! moja ty droga!
Ja chciałbym cię pocieszyć!

Lidia *(do siebie).*

Jaka męka sroga!

Ja myśli i pamięci nie dobędę z siebie!

(pociera czoło dłonią w samyśleniu)

Już wiem!

(do prezesa)

Ja miałabym prośbę, mój wuju, do ciebie,
Prośbę jedną, jedyną! Wywiedz mię z téj nocy,
W której szkarady tylko straszą moje oczy!
Wyrwij mi z serca wiarę, wszystko święte,
(tkliwe!

Daj mi światło zabójcze, o! byle prawdziwe!
Czy ten list jest u ciebie? Prawdę-ż mówi ona?

Prezes.

Moje dziecko! Tyś nadto teraz rozdrażniona,
Nadto cierpisz, by nowe zadawać boleści!
Twe serce i tak pełne, więcęj jój nie zmieści!
Późnięj pogadam z tobą.

Basia.

Niech stryj ją nie dręczy!

Lepiēj raz już to skończyć!

Lidia.

Mię nie mój ból męczy:

W mém sercu dwojga uczuć okropna zawilość!
Straszno, jednak ja mówię: niech ginie ma miłość!
Ale dopóki dowód jasny, oczywisty
Nie wesprze téj potwarzy, on będzie mi czysty,
Zacny, szlachetny, godny! O! Ja nie pozwolę
Aby piętno oszczerstwa na szlachetném czole
Zostało czarną plamą! O! mój wuju drogi!
Przebacz mi uniesienie! Sam powiedz: czy mogę
Wierzyć bez własnej hańby?

Prezes.

O! mój ty aniele!

Takich kobiet, niestety, na świecie niewiele!

(półgłosem do siebie)

Jak mógł ten niegodziwiec nie poznać się na niēj?

(do Lidii)

Późniēj, późniēj, me dziecię! To gorzēj rozrani,
Zatruje twoje boleść!

Lidia.

O! racz się zlitować!

Tyś mi dobry, jak matka! Chcesz mię przygo-

(tować —

Do tego okropnego w moim życiu ciosu!

O ja go znieść potrafię!

Prezes.

Ach! już brak mi głosu!

Wszak i ja nie kamienny! Nie mam nie mam siły!

Lidia.

O mój wuju! mój ojczu! Ukochany! Miły!

Powiedz wszystko: me szczęście już tylko ruiny!

Ona je rozbarzyła! Nie z twojej przyczyny

Ból, męka i śmierć moja!

(błagając)

O jak serce boli!

Lecz zobaczysz, co może siła mojej woli:

Będę zimna i mężna, ani się zachwieję!

Może poblednę trochę, może posmutnięję,

Może jedna łza padnie na uczuć zwalisko!

(po chwili milczenia)

Nie! ani łzy, ni żalu! O! powiedz mi wszystko!

(całując ręce prezesa)

Ja całuję twe ręce!

(chyląc się ku nogom prezesa)

Ucałuję nogi!....

Prezes *(podnosząc Lidia).*

Niech się stanie twa wola, mój aniele drogi!

Na-ci ten list przeklęty! Ale...

Lidia *(wyrwijąc list z rąk prezesa).*

Mam go przecie!

(Opuszcza bezwładnie ręce; waha się czas niejaki, później otwiera gwałtownie list, i chciwie weń patrzy.)

Jego ręka! Mój Boże!

(Mnie list w załamanych dłoniach; nareszcie czyta go, opuszcza z wolna ręce, i tak w bezruchu bolesnym stoi patrząc oślepiałym wzrokiem przed siebie.)

Więc tak na tym świecie?!

Wszystko piękne i dobre w brudny gruz się krusi
(szy!

Kłamstwem są głosy serca i przeczucia duszy?
Zerwać kwiat, on się w ręku w zgniłe włókno

(zmieni;

Spojrzyć w gwiazdy, to każda z niebiańskich
(sklepieni

Upadnie, i na ziemi, błotem ziemi będzie!

Spojrzed z bliska w twarz ludzi, same maski

(wszędzie:

Maski rozumu, uczuć, natchnienia, zacności!

Zerwać je, cóż zostanie: — brud w całej nagości!

Spojrzed we własne serce; o! w sercu nic nie ma:

Wszystko tam zmarło, pusto, lodowato, zima!

Z najświętszych myśli duszy nie lśni ani jedna!

Nie ma wesprzeć się na czem!

Prezes.

O! moja ty biedna!

Przyjdź do siebie; miej litość nad mą siwą głową!

Okupiłbym twój spokój, o! życia połową!

Tak! Modłów mych gorących wysłuchają nieba,

I ty będziesz szczęśliwą!

Lidia.

Już mi nic nie trzeba!

Nawet szczęścia!

(pokazując list)

Mam wszystko!

Basia.

Siostro moja droga!

Wspomnij, my cię kochamy!

Lidia *(z goryczą).*

Maszże w sercu Boga!

Zadawszy cios śmiertelny, nóż obracać w ranie?

Jątrzysz ją przez udane twe politowanie!

Stało się jakieś chciała! Patrz: oko me suche!

(chwytając jej rękę i przykładając do swej piersi)

Dotknij serca! Czy czujesz uderzenia głuche,

Jakbym już skonać miała?

(odrzucąc rękę Basi)

Ciesz się z twego dzieła!

(z ironią)

Oświeciłaś mię radą, zasłoneś mi zdjęta!

Patrz: jam teraz rozsądna, spokojna,

(z rozpaczą)

Szczęśliwa!

Z dawnych przeczuć już tylko jedno się odzywa,

I mówi: że to szczęście tobie jestem winna!

Basia.

Wiedziała, że nagroda taka być powinna

Za najlepsze me chęci z poświęceniem siebie!

Nienawidź mię: ja pójdę modlić się za ciebie!

(wychodząc)

(Dokończenie Aktu II nastąpi.)